

## „MY POLACY – MY DOLNOŚLĄZACY”

---

**autor:** Adam Seredyński

**szkoła:** Liceum im. Olimpijczyków Polskich w Długołęce

**opiekun:** Grażyna Raszczuk, nauczyciel j. polskiego

**temat:** „Człowiek musi wierzyć w parę prostych pojęć, jeśli chce żyć przyzwoicie”  
(Joseph Conrad). Twoja recepta na wychowanie młodego pokolenia Polaków.

---

Szarlotka jest dobra na wszystko...

- Marto, przypominam ci, że jutro musisz oddać mi tę pracę - głos nauczycielki fizyki, która pełni funkcję licealnego koordynatora do spraw konkursów, przebił się przez gwar szkolnego korytarza podczas długiej przerwy.

- Jaką pracę, proszę pani? - spytała Marta, odwracając się i rezygnując w tej chwili z wypicia jeszcze jednego łyku napoju o smaku jabłkowo-jakimś tam, który spragniona kupiła właśnie w szkolnym sklepiku (drogo jest w nim sakramencko, ale co zrobić, gdy dręczy cię pragnienie).

- Marto! To przecież praca na ten konkurs, o którym mówiłam ci miesiąc temu! Sama przecież pisałaś mi w mailu, że przeczytałaś informacje o nim i zaczęłaś już pisać.

- A, tak! Ten! Tak, zaczęłam pisać... - odparła zgodnie z prawdą Marta, przypominając sobie, że otworzyła na komputerze nowy dokument, napisała chyba dwa zdania, gdyż w ogóle nie miała pomysłu na rozwinięcie trudnego, enigmatycznego tematu.

- Ale przyniesiesz mi jutro tę pracę? Już cię zgłosiłam. Nie możesz nas zawieść.

- Oczywiście - powiedziała niezbyt pewnym głosem dziewczyna.

Gdy wróciła do domu, włączyła komputer i ponownie przeczytała temat konkursu: „Wszystkie cuda świata znajdziesz w swoim ogrodzie.”

- Hm... - westchnęła przygnębiona. Zupełnie nie wiedziała, o czym pisać. Słowo „ogród” jakoś mgliście kojarzyło się jej Edenem i drzewem. Według tradycji była to jabłoń. Jabłoń, jabłko, co to niedaleko pada od swojego macierzystego drzewa i takie tam.. Zaczęła pisać, ale bez entuzjazmu - w zasadzie prawie wszystko kasowała, co pojawiło się na monitorze laptopa.

- Martusiu, przyjdź do mnie! - usłyszała głos mamy. - Pomożesz mi przy pieczeniu szarlotki.

Weszła do kuchni. Mama odbierała właśnie jakiś nieoczekiwany telefon. Gdy skończyła rozmawiać, wrzuciła pospiesznie komórkę do torebki, chwyciła leżące na marmurowym blacie kluczyki od fiesty i powiedziała tylko: „Jadę do szpitala. Upiecz ciasto sama, jutro przyjeżdża ciocia Agnieszka z wujkiem. Pa!” Trzasnęły drzwi. Marta nie zdążyła nawet zaprotestować - i tak by to nic nie dało. Tak to jest, gdy ma się matkę-anestezjologa. Ostatecznie upieczenie jabłecznika nie było dla niej nowiną. „Kurczę - ucieszyła się nawet. Nie będę już musiała pisać tej dziwacznej pracy o cudach i ogrodach na konkurs. Tak jest! Zamknę się w kuchni, odgradzę od wszystkich cudów i nie-cudów świata. Super!”

Po pierwsze mąka. Gdzie ona jest? Co, u licha? Prawie pusta torebka? Coś tam na dnie jeszcze jest, ale to za mało. Marcie nie uśmiechało się jechać rowerem do najbliższego sklepu, bo raz, że było to z kilometr piaszczystą drogą, a dwa, że na dworze zaczęła kropić listopadowa mżawka. Od czego jednak spizarnia? W jej rogu, na niewielkim zielonym stoliku, stał solidny biały worek, zawiązany od góry jakimś kosmatym, chyba konopnym, sznurkiem. To pomysł taty. Zanim pojechał do Belgii, do pracy (minął już miesiąc od jego wyjazdu), „zorganizował mąkę rodzinie” (jego własne słowa). Mama nawet śmiała się, że przygotowuje swoje dziewczyny, jakby miała wybuchnąć wojna. Marcie wydawało się głupotą kupować z pięćdziesiąt kilogramów mąki na raz. Ale oczywiście nie była to zwykła mąka. Ojciec najpierw kupił zboże od jednego rolnika w ich miejscowości, a potem pojechał z nim (ze zbożem a nie rolnikiem) do jakiejś sąsiedniej wioski, gdzie funkcjonuje ostatni czynny młyn w gminie. Na tę wyprawę namawiał Martę - ona jednak wykręciła się, bo nie czuła konieczności oglądania całego tego „przemiału”. A potem tato cały wieczór długo opowiadał, jak szczegółowo konferował z młynarzem, czego też ten straszny pan nie opowiedział mu o swoim, istniejącym ponoć jeszcze przed wojną, młynie.

Że wielką sztuką jest zrobienie wzorcowej mąki krupczatki - takiej, z której wyszłoby najlepsze kruche ciasto na szarlotkę i takie tam...

No tak - ciasto! A jak ciasto - to masło do mąki. Tu, tym razem mama postarała się, aby w domu było prawdziwe wiejskie masło. Zgodnie z umową zawartą z panią Witoszkową, właścicielką Kory i Raby, dwóch wielgachnych krów, które żyją sobie beztrudnie w ostatnim gospodarstwie, pod samym już lasem - raz w tygodniu Marta jedzie po solidną osełkę masła. Pani Madzia Witoszkowa musi być chyba jakąś krewną tego młynarza poznanego przez tatę, bo też zawsze gada dużo i barwnie - nie oczywiście o przemiale mąki, ale o swoim ukochanym synu, który pojechał „do stolicy” i „praktykuje tam na adwokata”. Marta przypuszcza, że jeśli tylko pan Witoszek junior odziedziczył krasomówstwo po mamie, to z pewnością zajdzie wysoko jako mecenas. Na szczęście Kora i Raba nic nie mówiły (no chyba, że we Wigilię). Zadbane krówska były oczkiem w głowie gospodyni, która co

wieczór szczotkowała ich boki zgrzeblem, a jesienią pasła nadmiarem marchewki z własnego ogródka i jabłkami, których mnóstwo leżało pod drzewami za domem.

Jabłka! Marta, szybko zagniotła ciasto, włożyła je do lodówki, by schłodziło się odpowiednio i pomimo siąpiącego deszczu pobiegła do sadu. Założył go jeszcze jej dziadek. Nigdy go nie widziała - tylko ze zdjęć kojarzyła niewysokiego, wąsatego pana z łysiną. Dzisiaj najważniejsze były szare renety - najlepsze ze wszystkich możliwych odmian do jabłecznika. Królowe tego rodzaju ciasta. Monarchinie, chociaż z wyglądu najuboższe krewne miłościwie nam panujących w marketach wielkich, kolorowych jabłek najnowszych, modnych odmian. Zebrała spod drzew kilkanaście zielonych i twardawych owoców i pędem do domu, by nie zmoknąć, bo nic nie zarzuciła na plecy. Obrać, pokroić na ćwiartki, a potem zetrzeć na tarce - na cieniuteńkie plasterki.

Tarka, tarka... W górnej szafce, po lewej stronie - tam zawsze stoi obok moździerza. Jest! Tarka o czterech bokach, stara, prawie czarna. Po babci. Jeszcze ze Lwowa. Została wraz z moździerzem kupiona w tym roku, w którym babcia przyszła na świat. Babcię Marta oczywiście doskonale pamięta. Jakże mogłoby być inaczej, skoro odeszła ona rok temu - traf chciał, że dokładnie 1 listopada. Marta nie chodzi zbyt często na jej grób... Boi się cmentarzy, jakoś jej tam nieswojo. Nie lubi też tego jarmarcznego znoszenia ogromniastych chryzantem na Wszystkich Świętych, tego palenia monstualnych zniczy, ale zawsze, kiedy bierze do ręki poczerniałą tarkę...

Marta zadumała się i nawet jakoś cieszy się, że została sama przy robieniu szarlotki. Jest w swoim żywiole w swoim ogrodzie, kulinarnym ogrodzie. Nie wejdzie jej tu żadna przybłąda z szerokiego świata! Nawet gdyby była jakimś siódmym cudem. Wara jej! A kysz!

A cynamon? Tu dziewczyna czuje, że owszem, dobrze, że nawygrażała się, ale jak tu zrobić szarlotkę bez cynamonu?! Trzeba będzie wysunąć szufladę z pachnącymi przyprawami, trzeba będzie wpuścić jednego wędrowca z dalekiego świata. Ale czy to w sumie taki obcy gość? Pamięta bowiem, że gdy była jeszcze w podstawówce, tato czytał jej przed zaśnięciem fragmenty „Lalki” Bolesława Prusa o małym sierocie o imieniu Ignacy, który musiał pracować w sklepie. I w tym sklepie jego szef uczył go: „Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedne drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indii mieszka taki drzewo.” Tak więc i cynamon jest jej starym bliskim znajomym. Ale tato nie skosztuje tej szarlotki... Kiedy wróci z tej cholerniej Belgii? Może na Święta...?

Piekarnik na 180 stopni, góra-dół i jedziemy! Aby nie przegapić czasu pieczenia się ciasta, Marta nastawia kuchenny budzik w kształcie jajka na odpowiednią porę. Potem bierze I tom „Lalki” i zatapia się w lekturze. Marta zamknęła się w kuchni, w swoim tajemniczym ogrodzie. Zamknęła drzwi od hałasów świata. Zapomniała o wszystkim, nawet o pisemnej pracy, którą ma oddać jutro pani od fizyki (licealnemu koordynatorowi do spraw konkursów). W piekarniku tymczasem zaczął zakwitać piękny złoty kwiat szarlotki.

Ciasto gotowe. Czujecie, jak cudownie pachnie, jak jego woń napełnia cały dom? Niech tylko nieco ostygnie... Chcecie kawałek? Z pewnością Marta zaprosi was do swojego domu, do Długołęki. Dla was, gości z dalekiego lub bliskiego świata znajdzie się miejsce za stołem i szklany talerzyk z kawałkiem pysznej szarlotki. Chyba, że wujek - ten od cioci Agnieszki upora się z solidnych rozmiarów blachą jabłecznika prawie sam - czego niestety nie można wykluczyć, znając jego wcześniejsze kulinarno-konsumpcyjne osiągnięcia.

Założmy jednak wariant optymistyczny, że szarlotki wystarczy. Skosztujecie i może podpowiecie Marcie, o czym można pisać na temat cudów świata i odnajdywania ich we własnym ogrodzie. Liczcie się jednak i z tym, że moja przyjaciółka ma swoje zdanie. Może dojdzie i do tego, że nakładając wam kolejną porcję ciasta (kto ładnie poprosi, to i dostanie do niego bitą śmietaną) Marta będzie uparcie

(choć może tylko dla zasady) obstawała przy swoim zdaniu, że lepiej jest uprawiać swój ogródek, o przepraszam, chciałem oczywiście powiedzieć, że Marta uważa, iż lepiej jest piec swoją szarlotkę.